Nr. 7 Rok 3 Kraków, dnia 15 lutego 1942. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI

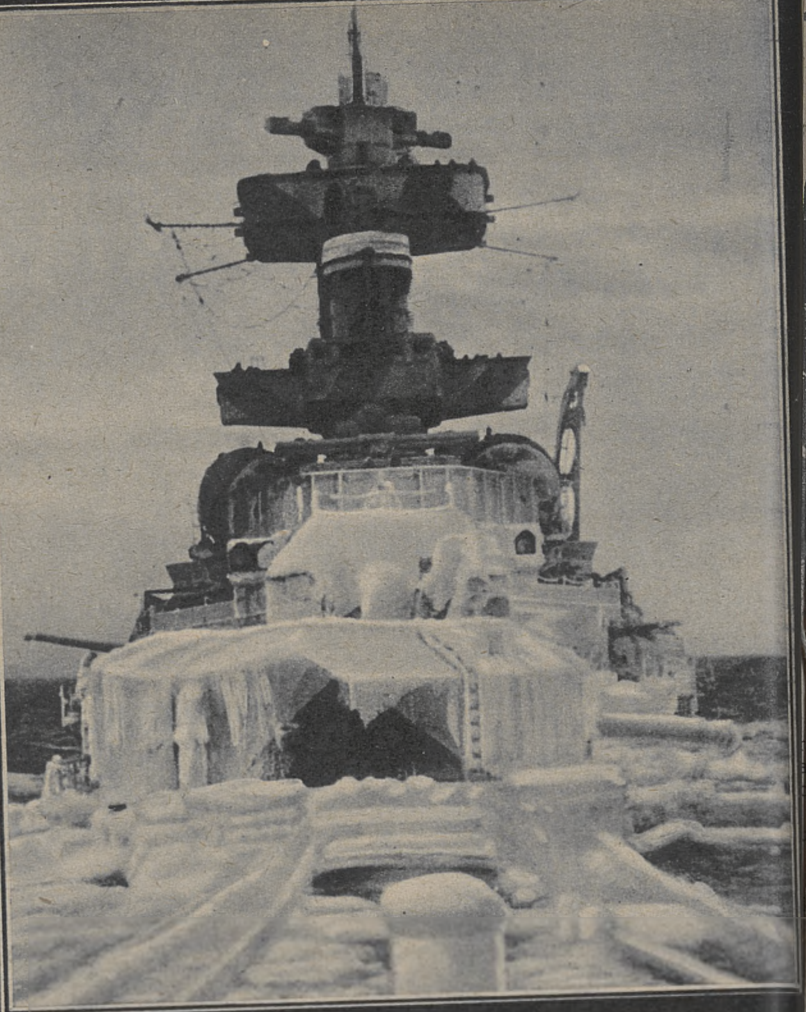


SIELANKA NA ULICACH SINGAPOORE

UPADEK SINGAPOORE — REWOLUCJĄ W AZJI WSCHODNIEJ. REPORTAŻ ILUSTROWANY WEWNĄTRZ NUMERU

Fot. Tschira





ZWYCIĘSTWO MIMO GHIBLI

Ostatnie skuteczne walki wojsk generał-pułkownika Rommela odbyły się częściowo przy gwałtownych wiatrach pustynnych. Piasek pustyni wciska się w najmniejsze szpareczki i przechodzi nawet przez mundury. Na lewo widzimy wartownika, który zabezpieczył się przed tym pyłem chustkami i szalami.

W POCHODZIE WOJENNYM ZIMĄ

Olodzenie dosięgło prawie mostku kapitańskiego, i zdaje się otulać ten krążownik niemiecki, który pełni służbę na M. Lodowatym Północnym.

Na lewo poniżej:

W KWATERZE GŁÓWNEJ CESARZA JAPOŃSKIEGO

Tutaj wydaje tenno po naradach ze swymi generałami wielkie decyzje, tutaj powstają plany, które są podstawą sukcesów armii japońskiej.

QUISLING PREMIEREM NORWESKIM

Po akcie państwowym dokonanym w twierdzy Akershus w Oslo odbiera nowy prezydent ministrów wraz z komisarzem Rzeszy Terbovenem defiladę kompanii honorowej.





NA TRZECH FRONTACH



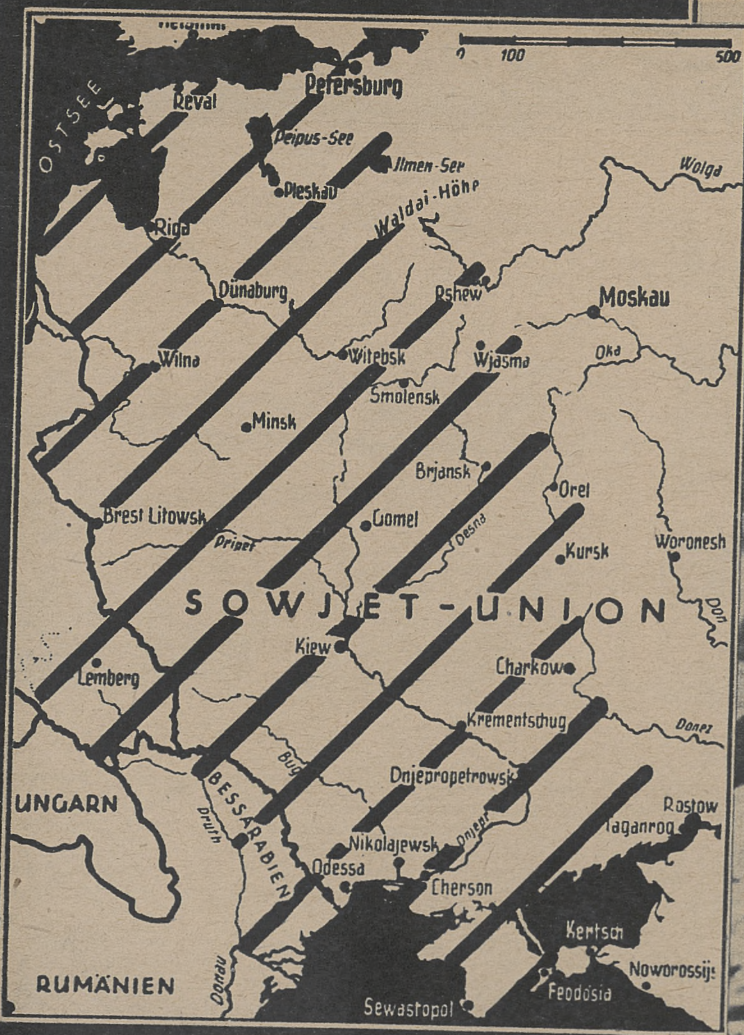
STALE W ATAKU

Mimo że tor kolejowy znajduje się pod mocnym obstrzałem baterii angielskiej, podsuwa się japoński oddział szturmowy metr po metrze pod stanowisko nieprzyjacielskie.

NIEMIECKI KARABIN MASZYNOWY NA STANOWISKU

Słońce praży niemiłosiernie, lecz mimo to obserwują żołnierze niemieckiego korpusu afrykańskiego wszystkie ruchy wojsk Imperium nużąc je tym niezmiernie.





SYTUACJA NA FRONCIE WSCHODNIM W DNIU 8 LUTEGO 1942

Fot. Atlantic 5
Presse Bild Zentrale 1
Scherl 1
Weltbild 3



ZDOBYCZ DLA KUCHNI POLOWEJ

Także te wielkie mrozy nie mogą popsuć im humoru. Oto dwaj żołnierze niemieckiego odziału szperaczy podsunąwszy się do pewnej miejscowości, przynieśli ze swej wyprawy kilka warkoczy cebuli zabranych z bolszewickiej kuchni polowej.



W kole:

PO CIĘŻKIEJ SŁUŻBIE

Niemieckie siostry Czerwonego Krzyża, które pełnią swoją ciężką i odpowiedzialną służbę tuż za linią frontową, używają przyjemności zimy w chwilach wolnych od zajęć.





TAKŻE I TEN RÓW LODOWY STOPNIEJE.

Na lewo widzimy zmianę warty na wysuniętym odcinku niemieckim. Wartownik stoi w rowie pełnym śniegu, a dokoła jest tęgi mróz i ostry wiatr.

JAPOŃSKA FLAGA WO



Jak lew gotowy do skoku zabezpiecza Singapoore z jednej strony Malaje, Burmę i Indie, z drugiej strony Hongkong i Port Darwin.

Niezbędne surowce Półwyspu Malajskiego cyna, guma, bauksyt i inne są magazynowane w Singapoore.



Oto tama, którą Anglicy w międzyczasie rozsadzili. Łączy ona Singapoore ze stałym lądem; biegnie po niej linia



Dlaczego widzi się w prasie tak mało zdjęć ze Singapoore? A przede wszystkim. gdzie są wszystkie te zdjęcia, które mają dać wyobrażenie o tej, najpotężniejszej na morzach fortecy? Malta, patrząca na świat przez lufy dział, jest nam znana, bez zastrzeżeń wierzymy też w zdolność obrony Gibraltaru, gdy patrzymy na jego sterczące groźnie skały. Ale Singapoore, które pod względem militarnym rozrosło się dopiero od r. 1921, nie daje cudzoziemcowi przybywającemu tam innego wrażenia, jak tylko obraz ożywionego miasta portowego Dalekiego Wschodu, do którego jako jednego z najważniejszych portów świata, wpływały wszystkie okręty. Około 13 000 okrętów wpływało corocznie do czasu wybuchu wojny do Singapoore.

Ale wojennego Singapoore nikt nie widział. Leży ono na uboczu, po drugiej stronie wyspy mającej ponad 500 kilometrów kwadratowych powierzchni. Słyszano wprawdzie, że tu i tam pod pagórkami znajduje się hala dla samolotów, że pod owym gajem palmowym znajdują się magazyny z benzyną, wiedziano ze sprawozdań, że w Singapoore stacjonują eskadry bombowcowe i myśliwskie, że znajdują się tu stocznie i doki suche i pływające nawet dla największych okrętów wojennych, że są tam koszary i place do ćwiczeń i węgiel i zbiorniki z materialami pędnymi. Tego wszystkiego jednak cudzoziemiec nie widział i niedopuszczalnym było, by ktoś zbliżył się do tych terenów z aparatem fotograficznym.

Kiedy w r. 1819 sir Stamford Raffles, którego pomnik wznosi się w Singapoore przed halą pamiątkową poświęconą królowej Wiktorii, nabył tę niepokaźną wówczas wioskę rybacką, w której często grasowała malaria, tę wioskę nad cieśniną Malakka pomiędzy Oceanem Indyjskim i Morzem Południowo-Chińskim, musiał wysłuchać od parlamentu angielskiego szyderstw i docinków. Cóż znaczyło bowiem Singapoore wobec tych olbrzymich posiadłości holenderskich po drugiej stronie cieśniny, które zupełnie inaczej reprezentowały Daleki Wschód a które ministrowie angielscy oddali niemądrze przed czterema laty Holandii przy zawieraniu pokoju po wojnach napoleońskich.

Cóż to jest Singapoore? Czym był port Singapoore, do którego zbliżyła się Japonia pokonywując w zwycięskim pochodzie największe przeszkody terenowe i klimatu? Przez ciągle nowe posunięcia taktyczne i strategiczne, atakuje je Japonia coraz mocniej i mocniej i strąca z jego dumnej wysokości, na którą je wzniesiono i którą mu wmówiono, jak żadnej innej potędze.

Singapoore było czymś więcej jak największą twierdzą morską świata położone w najlepszym punkcie najważniejszej cieśniny morskiej, łączącej Daleki Wschód z Zachodem, Singapoore było czymś więcej niż gwałtowne pogróżki skierowane na północ przeciw powstającej Japonii. Singapoore było symbolem niespotykanych dotąd uroszczeń Anglii do panowania nad światem Azji Wschodniej.

Pod płaszczem opiekuńczym Singapooru, zabezpieczone od napaści ze Wschodu, leżały Indie, klejnot koronny Anglii ze swoimi 350 milionami ludności, kontynent sam dla siebie, pełen nieprzebranych bogactw, które by mogły zabezpieczyć Anglii dobrobyt na wieki.

Singapoore położyło się jak lew gotowy do skoku przed angielską kolonię koronną Malaje z ich niewyczerpanym bogactwem w postaci cyny i gumy. Kopalnie cyny na Malajach są najbogatsze na świecie. Zaś pomiędzy obie, pomiędzy Indie i Malaje, pod osłoną Singapooru, ułożyła się Burma, właśnie ujarzmiona, otrzymawszy od Anglii na swe dążenia wolnościowe szyderską odpowiedź.



Na Singapoore patrzała Australia, bezludna i dlatego właśnie łakomy kąsek dla przeludnionego Wschodu. Cóż znaczy port Darwin bez Singapoore? Hongkong na północy, port Darwin na południu miały swoje znaczenie tylko za pośrednictwem Singapooru, stanowiącego wierzchołek trójkąta potęgi angielskiej. Ten wierzchołek

Wielu cudzoziemców stawia w Singapoore po raz pierwszy swe stopy na ziemi tropikalnej. Naturalnie trzeba im coś ofiarować niezwykłego, a mianowicie orzechy kokosowe, i to prosto z palmy. Mały Hindus wdrapuje się zręcznie jak kot po pniu i przynosi je oczekującemu na nie przybyszowi. Przy dokładniejszym obejrzeniu tego tak świeżego owocu okazuje się często, że ma on wyciśniętą pieczęć jakiegoś znanego koncernu handlowego owoców południowych.

Singapoore było przed wojną jednym z najbardziej uczęszczanych portów na świecie. Wszystkie statki płynące na Daleki Wschód odwiedzały ten ważny port, gdzie nagromadzone są skarby Półwyspu Malajskiego. Anglia będzie się musiała odtąd przyzwyczaić do tego, że na okrętach, które będą odtąd zawijać do portu, będzie powiewała flaga ozdobiona wschodzącym słońcem, zwycięska flaga Japonii.

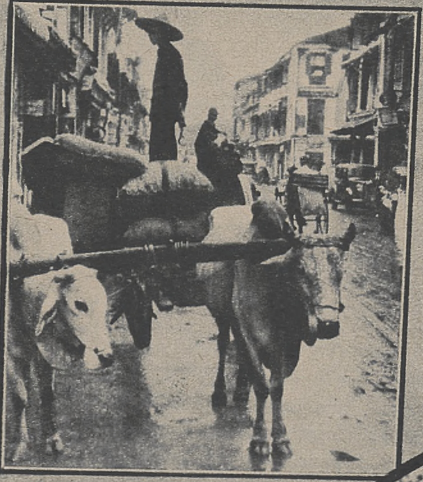


JENNA NAD SINGAPOORE

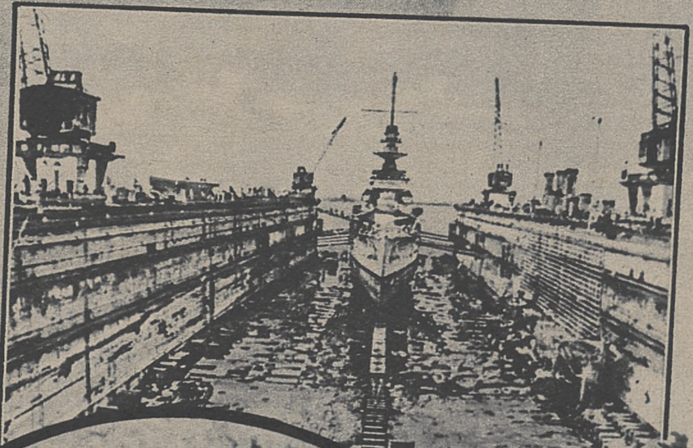
kolejowa i jedyne przewody z wodą do picia.

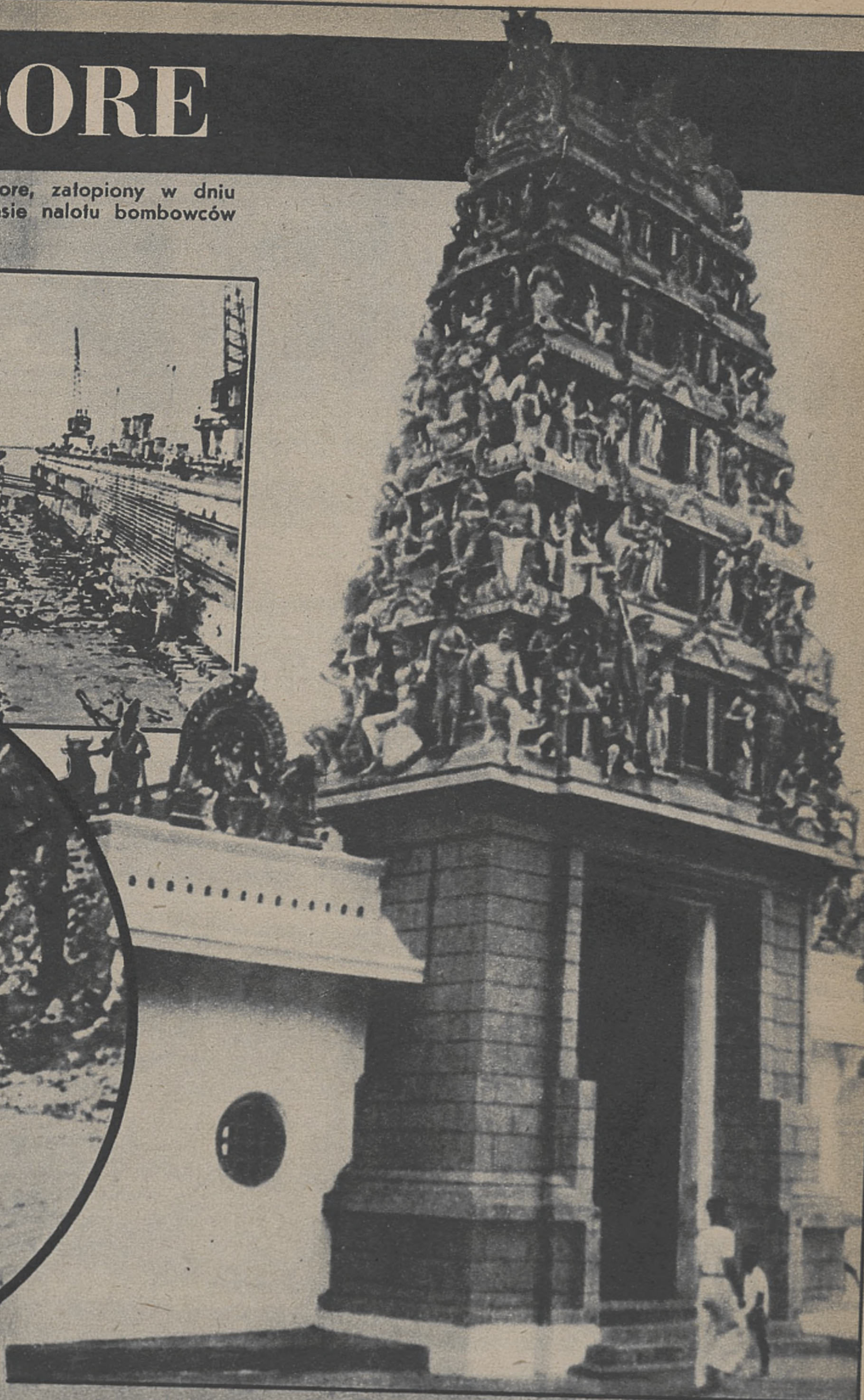


Obrazek z dzielnicy tubylców w Singapoore, opanowanej przeważnie przez kupców chińskich.



Potężny 50 000-tonowy dok Singapoore, zatopiony w dniu 1 lutego bombami japońskimi w czasie nalotu bombowców japońskich.





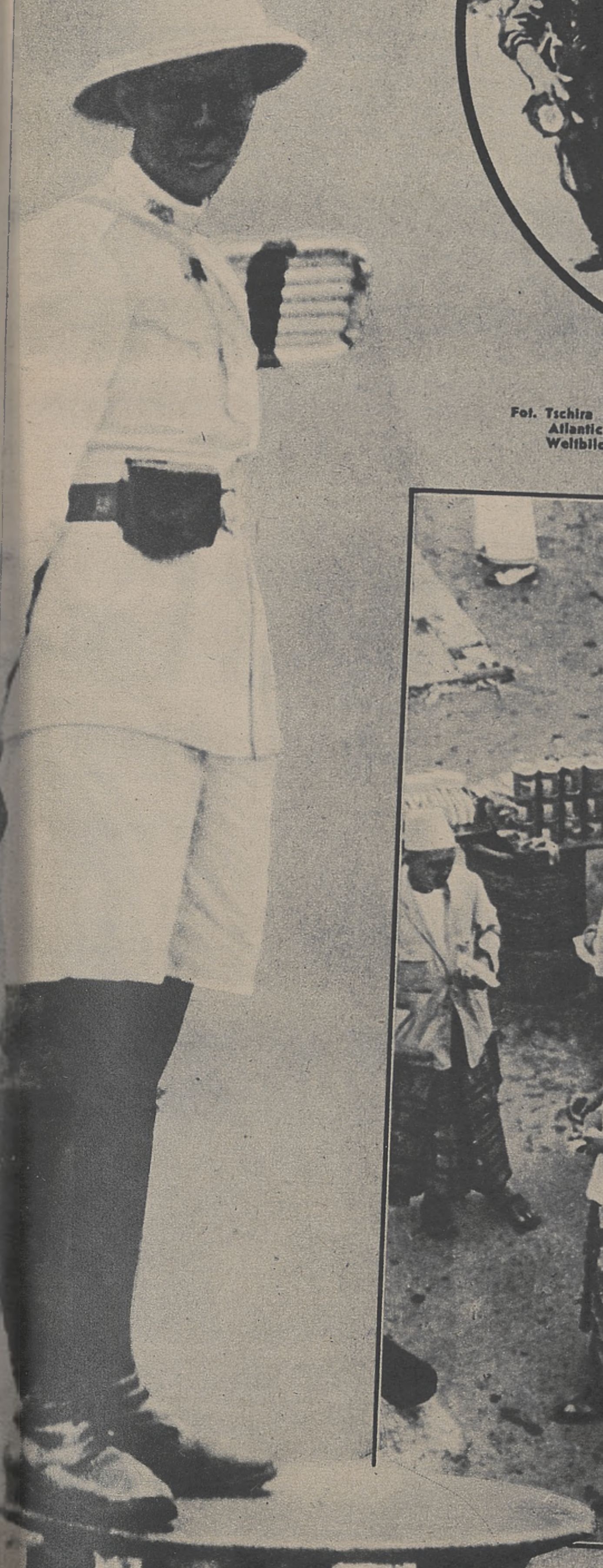
stracił już dawno swoje ostrze. A twierdza sama zbliża się nieuchronnie do swego przeznaczenia. W kilku tygodniach padł Hong-kong, upadek Singapoore będzie zaś oznaczał w Azji Wschodniej rewolucję o wielkim zakroju.



Fot. Tschira
Atlantic 1
Weltbild 1

U celu! Po dniach pełnych zaciekłych walk, potężnych rozgrywek artylerii i bitew w powietrzu dostała się w ręce japońskie twierdza uważana niegdyś za nie do zdobycia.

Świątynia hinduska. Najrozmaitsze rasy i religie żyją obok siebie w Singapoore. Zamieszkują one przeważnie własne dzielnice.





Policjant kierujący ruchem na ulicach Singapoore stoi sobie z założonymi rękoma, gdyż ruch reguluje deszczułka przyczepiona do pleców.

Na grobli portowej w Singapoore. Są tu wystawione na sprzedaż owoce południowe i wszelkie możliwe kosztowności z Dalekiego Wschodu.



Piekło na Atlantyku

MAJTEK FRANCUSKI JEAN PERRET OPOWIADA O SWOICH WYPRAWACH NA KONWOJACH BRYTYJSKICH

6 ciąg dalszy

Tłomaczył Maurycy Günther

Nikt nie miał już odwagi zapalić choćby papierosa, gdyż wszystkim zrobiło się już niedobrze. Woda ściekała nam po kołnierzach i na domiar wszystkiego zgasło nagle światło.

Zdaje się, że przez ten czas zrobił się już dzień, bo przez wąską szparę wcisnęło się światło dzienne. Tupot w knajpie nagle umilkł. Nikt nie chciał już więcej pić. Wszyscy czuli dopiero teraz, jacy byli zmęczeni, zmęczeni aż do upadnięcia, a przytem to powietrze! Ale świadomość, że siedzimy w grobie, i że stopniowo możemy stracić przytomność, przywróciła nam siły olbrzymów. Przy pomocy różnych narzędzi, łomów żelaznych, łopat do węgla, młotów i kielni wybiliśmy w murze otwór, tak że przynajmniej powietrze się nieco odświeżyło. Ale o wolności nie było jeszcze co myśleć.

Trwało jeszcze z dobrą godzinę, zanim się stamtąd wydobyliśmy. Staliśmy więc znowu na ulicy, która jak długa rozerwana została przez bomby. Nikt nie próbował nawet pomóc nam. Gdybyśmy się sami nie byli wygrzebali, bylibyśmy się wszyscy podusili. A jak wyglądaliśmy w ten późny jesienny ranek! Niewyspani, zziębnięci, bladzi albo żółci, policzki wpadnięte i oczy zapadłe.

Do licha! Wziął mnie wstręt na to. Czy to była Anglia? Czy to był ten bezpieczny port, na który czekaliśmy przez długie dni, na który się cieszyliśmy i w którym się Bóg wie czego spodziewaliśmy? Nie jestem w stanie opisać, jak na nas podziałał ten poranek. Dać drapaka. To była myśl. Ale dokąd? Każdy z nas miał na twarzy wypisane, że jest marynarzem. A wszędzie czatowali szpicle. Na to zawsze mieli czas, aby nas pilnować, byliśmy bowiem osobistościami ważnymi w tej ziemi obiecanej.

Gdyby nie mieli marynarzy, mogliby się wszyscy od razu powiesić. Okręty przecież same nie popłyną.

Słodycze i bat! Według tej starej recepty wychowywania niewolników i utrzymania ich w rygorze traktowali też i nas. Kto nie słuchał, tego zamykano albo wieszano. Trzymano go o głodzie tak długo, aż się stawał uległy, obiecywano mu życie jak w bajce i równocześnie piekło.

Na razie słuchaliśmy jeszcze. Gdyż człowiek staje się w podobnym położeniu tchórzem. Zawsze bowiem ludzi się jeszcze, że znajdzie szparę, przez którą się prześnie i zniknie. Gdy osioł lub wielbłąd na pustyni są już u kresu swych sił, kładą się po prostu na ziemi i leżą. I raczej pozwolą się zabić niż wstaną i spróbują dalej iść. Człowiek natomiast pozwala się dopiero wtedy zabić, gdy z bezsilności stracił już świadomość. A myśmy jej jeszcze nie stracili. Jeszcze nam zupełnie dobrze się wiodło. Tak w każdym razie sobie wmawialiśmy. To przeklęte Southampton, tę kupę gruzów przecież znowu opuścimy, ze dwa, trzy dni będziemy płynąć w strefie niebezpiecznej, gdzie dognać nas mogą bombowce i łodzie podwodne, i gdzie nalecieć możemy na miny, potem jednak popłyniemy znowu do Nowego Jorku. Co prawda tam byliśmy znowu jeńcami Jego Królewskiej Mości, ale bądź co bądź mogliśmy przynajmniej spokojnie spać, bo nikt nie rzucał nam bomb w podołek a pozatem mogliśmy hulać bez narażania się na to, że cała knajpa zawali się nam nad głowami. Widzi pan, taki już jest człowiek. Ciągle ma jakąś nadzieję, ciągle próbuje wydobyć z najgorszego coś dobrego, tak długo jak długo właśnie ma choć iskierkę nadziei. Być może uda się nam jednak zwiać w Nowym Jorku. Może znowu wsiądziemy na okręt amerykański. Wtedy jednak — ucieczka w najbliższym porcie. Lepiej na Missisipi wozić śmieci, jak jeszcze raz przejechać ten przeklęty Atlantyk, to piekło na ziemi. Do Francji przecież nie mogłem. Sen o Górach Sabaudzkich skończył się na razie. Bo jakżeż mogłem dostać się teraz do Sabaudii? Aby się to mogło stać, potrzebne było zatonięcie koło Portugalii i wysadzenie na ląd w Portugalii. Ale byłoby to zbyt wielkie szczęście.

Do pioruna! Znowu nas tak przetrzęśli, że prawie nikt ze starej załogi ze mną nie pozostał. Potasowali nas jak karty. Z wiadomych powodów. Ale i do tego się człowiek przyzwyczai. Akurat tak samo jak do tych emigrantów, których „podali" nam na pokład. Tym razem było ich dużo więcej, i nie tylko dzieci i starszych kobiet, lecz także ladies z tak zwanych „najwyższych" kół.

A lud szemrał, jakeśmy wyjeżdżali. Groźnie stał przy molo. Policja musiała odgradzać. Musiała, bo w przeciwnym razie byłoby się coś stało. To nie była już ta Anglia z tamtego roku.

Ci, którzy stali przy molo nie mieli dachu nad głową, spali w lochach pełnych szczurów i pełnych wilgoci, a ci, którzy teraz odjeżdżali mieli w Anglii na wsi jeszcze swoje domy i dotąd zawsze jeszcze byli nasyceni. A mimo to uciekali, bo bali się, że pewnego dnia mogą Niemcy obsadzić i ich posiadłość wiejską i wypędzić ich stamtąd.

Było to jedynie śmiałe przypuszczenie. Być może niepokoił ich ich własny naród. I z tego to powodu zabezpieczali swoje kosztowności i brylanty. Ich konto bankowe było już dawno zabezpieczone, tam w USA., w dolarach. Nie potrzebowali więc obawiać się w USA. Tłum nie krzyczał i nie tupał, miał to wyraźnie zakazane, ale w niemym proteście trzymał w górę plakaty, na których można było mniej więcej wyczytać to, co chcieli powiedzieć. Było tam napisane: „Chcemy ich mieszkania", albo: „Dajcie nam ich łóżka". A na innych: „Chcemy być raz znowu nasyceni", albo: „Precz z wampirami narodu". Nie są to żadne przyjemne sentencje i jeżeli policja rozpędzała tych plakatników, musiała mieć już swoje ku temu powody.

Odetchnęliśmy, kiedyśmy mieli już Southampton poza sobą, mimo że należało się spodziewać, że w następnych dniach stanie się coś. I w dodatku nic wesołego. Tego byliśmy wszyscy pewni. Ale myśleliśmy sobie tak: Lepiej raz skończyć to ciągłe przerażenie niż odczuwać ten ciągły niepokój bez końca. Życzyliśmy sobie nawet tego „wydarzenia". Żyć w takim naprężeniu i nie widzieć żadnego wyładowania, to jest właśnie najgorsze. Tak żyją właśnie Anglicy na swojej wyspie.

„Widzi pan, — tak powiedział mi jeden z tych znanych szpiclów gdyśmy wypływali — to właśnie jest to wstrętne w tej wojnie, że nie ma dotąd żadnych rozstrzygnięć." Mówiąc o „rozstrzygnięciach" miał na myśli próby lądowania Niemców, na które czekano w Anglii już przeszło pół roku. Od czasu Dunkierki. A jednak jeszcze nie wylądowali, mogli jednak każdego dnia się zjawić.

Ja osobiście odczuwałem to samo. Byłem już dwa albo trzy razy świadkiem strasznych wydarzeń dokoła mnie. Albo okręt naleciał na minę, albo też z którejś strony pokazały się bombowce niemieckie lub łodzie podwodne i uprzątnęły jednego z naszych sąsiadów. Za każdym razem myślałem sobie: teraz przyszła już na ciebie kolejka. A kiedy oczy znów otwierałem, żyłem jeszcze ciągle i poza tym że uciekaliśmy nic mi się więcej nie przygodziło. Jeszcze raz, po raz niewiadomo który uszedłem z życiem.

Podobno człowiek przyzwyczaja się i do niebezpieczeństw. Może to prawda, ale są na świecie rzeczy, do których się nigdy nie przyzwyczai. Widzi pan, do bombowców i czołgów niemieckich nie mogli się żołnierze francuscy przyzwyczaić w kampanii na Zachodzie, tak samo jak i Polacy w kampanii polskiej i dlatego tę wojnę przegrali.

Teraz doszło znowu do tego, że człowiek dzień w dzień i noc w noc oczekiwał tego, że za chwilę dostanie się do wieczności. Ciągle wisiał nad nami nóż katowski i ciągle się cofał, a słońce śmiało się do nas jak zwykle i jakiś głos nam mówił: Jednak jeszcze nie jest tak daleko; djabeł udziela ci jeszcze zwłoki. Wykorzystaj ją, nie można bowiem wiedzieć, jak to długo jeszcze potrwa.

Czy uwierzy pan, że przy takich myślach może człowiek powoli oszaleć? Nie wiem, czy nasz kapitan odczuwał to wszystko tak samo jak my, ale myślę, że tak. Do tego dołączyło się jeszcze i to, że przecież trzy tygodnie spędziliśmy w gromadzie błaznów. Wszyscy, co jeszcze pełzali po pokładzie — mówię „pełzali" bo kolana uginały się im ze strachu, tak że chodzić prosto już nie umieli — przynieśli ze sobą zarazki szału już z ojczyzny. „Szał minowy" — jakeśmy go nazwali. Gdy się człowiekowi opowiada po tysiąc razy, że Atlantyk tak się tylko roi od min, bombowców i łodzi podwodnych a potem się go jeszcze tam wysyła, aby się przekonał, czy to prawda, może sobie pan wyobrazić, jak się taki człowiek zachowuje, chcąc przekonać się ile prawdy tkwi w tych opowiadaniach. Szczególnie wtedy, gdy jest ulepiony z tej samej gliny, co te ladies i gentelmen, którzy w swojej ojczyźnie chyba jeden raz

Rozrywki umysłowe

SZARADA

ul. J. Ch.

Pierwsze—drugie—trzecie w malarstwie znajdziecie.

Gdy z przyjaciółmi w wolnej porze
Rozłożysz karty przy humorze,
A czwarta — piąta przyjdzie na cię,
Nim je wyłożysz, pomyśl bracie!
Całość gdy bywa podwyższona,
Martwią się dzieci, martwi żona
I do lekarza lub apteki
Biegną kupować drogie leki.

Tak zawsze bywa!

Zdziś i Zbyś bawili się w pokoju w wojnę. W zapale wojennym uderzył Zdziś drewnianą szablą w okno i wybił szybę. Bojąc się postanowił zrzucić winę na kogoś z ulicy. Przyniósł więc niespostrzeżenie kamień z ulicy i położył go w pokoju. Kiedy matka weszła do pokoju, opowiedział Zdziś zmyśloną historyjkę, że Jaś od sąsiadów rzucił kamieniem w okno i wybił szybę. Matka obejrzała szkodę, po czym nie mówiąc ani słowa, wsypała Zdzisiowi parę porządnych klapsów; Zdziś wiedział więc, że i matka poznała się na jego kłamstwie. W jaki sposób?

*

ROZWIĄZANIE ROZRYWEK Z NR. 5

Szczęście rowerzysty

Na niebie był co prawda księżyc, ale był już jasny dzień. Księżyc często widać przecież jeszcze w dzień.

Rebusograf

Znaczenie rebusików: 1. butla (but, la), 2. karoce (karo, ce), 3. Tortosa (tort, osa), 4. kwadratura (kwadrat, u. Ra), 5. podanie (Po, danie), 6. bezmiary (bez, miary), 7. winogrono (wino, grono), 8. dramat (D, rama, t), 9. myśliwy (M, y, śliwy).

Rozwiązanie ostateczne: Uroki zimy.

tylko siedzieli w schronie; mają bowiem swe posiadłości wiejskie, gdzieś w górach Szkocji, czy gdziekolwiek. Ci znają naloty bombowe jedynie ze słyszenia a z kraju uciekli jedynie dlatego, że im już te opowiadania działały na nerwy.

Gdyby chodziło o prawo, moglibyśmy tych pasażerów, coś około stupięćdziesięciu zamknąć na cały przeciąg podróży. Gdyż oni to byli przyczyną, że personel szalał. Płynęliśmy znowu na okręcie pasażerskim, jednakże tym razem na angielskim. O tyle też był strach przed storpedowaniem bardziej uzasadniony jak za pierwszym razem, kiedy to jechaliśmy na okręcie amerykańskim.

Właściwie obawiali się oni więcej o swoje pieniądze niż o życie. No, na uspokojenie ich mówili im marynarze z całym otwartym cynizmem, że te pieniądze, perły i brylanty będą przecież mogli zabrać ze sobą, gdy już będzie tak daleko, że trzeba będzie odbyć ostatnią podróż. Obiecywaliśmy im uroczyście, że przedtem pójdziemy jeszcze z nimi do skarbca, aby przygotować te skarby do podróży do królestwa ryb. Yes, sir, wierzyli nam na słowo, nie spostrzegli się, ile ironii tkwiło w tym co mówiliśmy.

Nędzne kreatury! Kiedy to robactwo obserwowaliśmy wydawaliśmy się sobie niewinnymi barankami nawet z naszymi wszystkimi niskimi instynktami, które brały zawsze górę nad lepszymi, skoro tylko znaleźliśmy się na lądzie. Liczyliśmy zawsze, że to już ostatni raz w życiu.

Aby być zupełnie pewnym, że Pan Bóg pomoże im przejechać zdrowo i bezpiecznie przez ten wielki staw, zabrali ze sobą duchownego, którego zapłacili ze swych ciężko zapracowanych pieniędzy. Yes, sir, byli oni tego mniemania, że i Pana Boga można przekupić i że pomoże On przede wszystkim tym, którzy wrzucą do puszki najlepiej dźwięczącą monetę. My marynarze byliśmy z pewnością ludźmi prymitywnymi, ale i tak staliśmy zawsze jeszcze o niebo wyżej od tych sępów ludzkości, którzy jeszcze w godzinie śmierci chcieli robić z Panem Bogiem interes i którzy w ostatniej chwili nie umieli się wyzbyć swych żydowskich manier.

Kiedyśmy się potem zbliżyli do wybrzeży amerykańskich i nic się nam nie stało, byli oni głęboko o tym przekonani, że jedynie ta ich suma pieniężna skłoniła Pana Boga do tego, że ten okręt, tę „Hawaję" przeprowadził zdrowo przez odmęty. Całe szczęście, że duchowny kazał sobie tę umówioną sumę wypłacić jednak jeszcze przed wyjazdem, w przeciwnym bowiem razie musiałby Pan Bóg targować się z nimi przy lądowaniu o ostatniego centa.

Ludzi poznaje się najlepiej gdy są w biedzie lub niebezpieczeństwie. Chciałoby się ich wówczas bić po twarzy, chciałoby się...

Kiedyśmy w Nowym Jorku wyszli na ląd — tym razem był oczywiście nasz cień znowu za nami i wolno było wychodzić nam jedynie w towarzystwie, jak damom z pensjonatów, naturalnie w tym celu, żeby się żadna owieczka nie zgubiła, — uderzył w pierwszym rzędzie moje oczy plakat na Brodwayu, na widok którego musiałem potrząsnąć mimo woli głową: Piękna panna Eve Curie będzie miała odczyt na temat „Kobiety francuskie o wojnie". Słyszał pan dobrze? Proszę sobie to dobrze wbić w pamięć! Mademoiselle Curie będzie mówiła o francuskich kobietach w czasie wojny. Ta musiała dużo o tym wiedzieć, gdy siedziała w miejscu bezpiecznym i pozwalała wypijać innym piwo, przy warzeniu którego pomagała.

Wyznaję, że ogarnęła mnie wściekłość. I gdybym tak nie był pod ścisłą kontrolą, byłbym poszedł na ten odczyt, zabrał swoich towarzyszy i bylibysmy tę mademoisellę wygwizdali albo obili. Może mi pan wierzyć jak to, że nazywam się Jean Perret i że chciałbym zobaczyć jeszcze raz moją starą matkę w górach Sabaudzkich przedtem, zanim mnie ten piekielny ocean nie połknie.

Ale i teraz byłbym wyszedł na tym bardzo źle. Musiałem więc zrezygnować z napadu na mademoiselle Curie, choć było mi bardzo przykro z tego powodu. A nawiasem mówiąc, mimo całej kontroli miałem w tym czasie w Nowym Jorku dość sposobności przekonania się o tych różnych niesmacznościach do których byłem przyzwyczajony z naszego, czasem bardzo zły gust zdradzającego Paryża, gdzie berło kultury dzierżyli ci sami ludzie co i tutaj.

Widzi pan, my marynarze mamy rozum dość prosty, do zrozumienia niektórych rzeczy nawet za prosty, i nie jesteśmy zbyt wybredni, kiedy wyszukujemy sobie dziewczynę. Ale wiemy jeszcze tyle, że są na świecie kobiety, których kupić nie można. I właśnie dlatego, że o tym wiemy, tęsknimy do tego, by choć raz taką kobietę móc poznać. No, oczywiście były na pewno takie w górach Sabaudzkich, na to mógłbym przysiąc.

Podróż powrotna zapowiadała się niedobrze. Jeżeli kapitan już na początku przemawia, musi być coś nie w porządku. Kapitanowie, którzy wiele mówią są mi wstrętni, bo mówią albo dlatego, że są pijani, albo boją się. Albo jeszcze co innego: Towarzystwo Okrętowe kazało im przedtem całą mowę wydrukować i wyuczyli się jej na pamięć na rozkaz. U naszego nowego kapitana, Henry'ego Cardiffa miał miejsce prawdopodobnie ten ostatni wypadek. Miał on figurę kata, z rękami długimi jak u małpy, którymi, gdy mówił, machał w powietrzu jak wiatrakami. A mówił często. Rano, w południe i wieczorem. Był człowiekiem morza, o tym nie mógł nikt wątpić, a wbił on sobie do głowy, że koniecznie własnoręcznie musi zatopić łódź podwodną albo zestrzelić bombowiec niemiecki. Konieczne do tego „przybory" były wbudowane na pokładzie a kapitan przeszedł jeszcze przed wyjazdem specjalny kurs, aby móc osobiście obsługiwać działa i karabiny maszynowe. Był więc swoim własnym kanonierem.

Swoją drogą była ta „black rose", dziwnym okrętem. Starszy rocznik, trochę „zreumatyzowana" mimo swoich 5000 ton. A myśmy załadowali pszenicę. Załoga — sir, nie jechałem jeszcze nigdy na takim okręcie, gdzie tylu bandytów i włóczęgów zostało marynarzami Musiało być nie wesoło w marynarce angielskiej, jeżeli okręty obsadzało się taką zbieraniną. Połowa z nich rekrutowała się z bractwa robotników przygodnych, ludzi, których w USA nie można było nawet za pieniądze lub dobre słowo skusić do tego, by swoje pieniądze zarabiali w sposób uczciwy. Co ich skłoniło do tego, żeby jechali dla Anglii na tym okręcie, pozostanie dla mnie na zawsze tajemnicą. Warto jednak zapoznać się tu z niektórymi z tych typów bliżej i z osobna.

Był więc „Jimmy", murzyn z Harlemu, który kiedyś czyścił buty na Brodwayu a teraz był palaczem. Czyścić buty a opalać okręt 5000 tonowy to pewna różnica, prawda? A ostatecznie był ten Jimmy jeszcze najporządniejszym z tych łajdaków. Kiedy miał wolne, tańczył w takt muzyki jakiegoś starego zardzewiałego gramofonu black-bottoma lub stepował, aż drzazgi leciały z pokładu. Sądząc po tej jego doskonałej umiejętności musiał być Jimmy kiedyś tancerzem w jakimś lokalu nocnym w Nowym Jorku. Kapitan miał z nim za swoje, bo murzyn nie mógł zrozumieć, że okręt staje, kiedy się do pieca nie dokłada węgla. Jimmy mruczał wtedy: po co okręt ma tak prędko jechać, przecież mamy czas.

„My tak, ale Old England nie, ona potrzebuje pszenicy, bo tam głodują". Jimmy wzruszał wtedy ramionami i śmiał się. Było to ponad jego rozum. Przecież i on czasem cierpiał głód w życiu i nie umarł jeszcze chociaż nikt wtedy nie przyszedł do niego, aby mu dać pszenicy.

Jego kompan „Shepp" pochodził z Chinatown. Na żegludze rozumiał się jeszcze mniej niż Jimmy. Jeden jedyny raz jechał okrętem z Szanghaju do San Francisko na okręcie pasażerskim, gdzie prał i prasował bieliznę. Sztukę za dwa centy. Przy 60 stopniach w cieniu. Tyle właśnie jest w lipcu w prasowalni okrętu pasażerskiego. To wytrzymać może tylko Chińczyk. Na naszym okręcie sypał Shepp węgiel razem z Jimmym.

Dobrana dwójka, ci dwaj. Mówili po angielsku tak, że się źle robiło słuchać. Shepp był też podstępny i do tego leń. I kradł jak sroka. Nawet kapitana nie uszanował. Ten znalazł pewnego razu swój złoty zegarek w kotłowni pod stosem drzewa. Oprócz zegarka znaleziono przy trochę dokładniejszej rewizji także dwa rewolwery. Na co mu rewolwery? Kapitan zastanawiał się nad tym, co z tym łobuzem począć. Zamknąć? Wtedy będzie mu brakowało jednego człowieka w już i tak przetrzebionej załodze. Zbić? To się już stało, Anglicy biją bowiem zaraz gdy tylko odkryją jakąś kradzież albo wystąpienie przeciw rygorowi okrętowemu. Ze specjalnym zamiłowaniem biją jednak Chińczyków.

Yes, sir, Shepp został obity i to tak, że jego ryk słychać było na całym okręcie. A potem chodził po okręcie z krwią nabiegłymi oczyma i guzem z tyłu głowy. I porządnie utykał, dowód, że i tylna część ciała nie została pominięta.

Dalej był tam „przylądkowiec", który ostatnio był pomywaczem talerzy, jak opowiadali jego kompani, którzy go bliżej znali. Potwór — jak miał zapisane w swojej książeczce. Już na sam widok tej bestii w ludzkim ciele robiło się człowiekowi słabo przy jedzeniu. A on jadł cały dzień. Było to bowiem czymś całkiem nowym dla niego. I pił spirytus do palenia, zmieszany z cukrem i rumem. Każdy inny ze śmiertelników, byłby prędko od tego napoju żywot zakończył. Przylądkowiec nie. A propos jego przezwiska: pochodziło ono stąd, że dawniej jeździł na okręcie kursującym dokoła przylądka Kap. Z kucharzem był on na najlepszej stopie. Obaj znali się bowiem. Przylądkowiec służył w tej samej knajpie, w jakimś boardinghousie, w której kucharz Jazz był kucharzem. Jakkolwiek Jazz był podobno kucharzem, nie można było jeść jego żarcia. Gotował niemożliwe potrawy, właśnie tak, jakby chciał w ten sposób doprowadzić całą załogę do wściekości. Dawał więc sztokfisz z sokiem malinowym, kluski z baraniny z rodzynkami, sałatę śledziową z kiełbasą. Specjalnością jego było to, że wszystkie potrawy przyprawiał bardzo mocno korzeniami. Cieszył się potem jak błazen, kiedy co kilka minut biegaliśmy do pompy i połykaliśmy litrami zimną wodę.

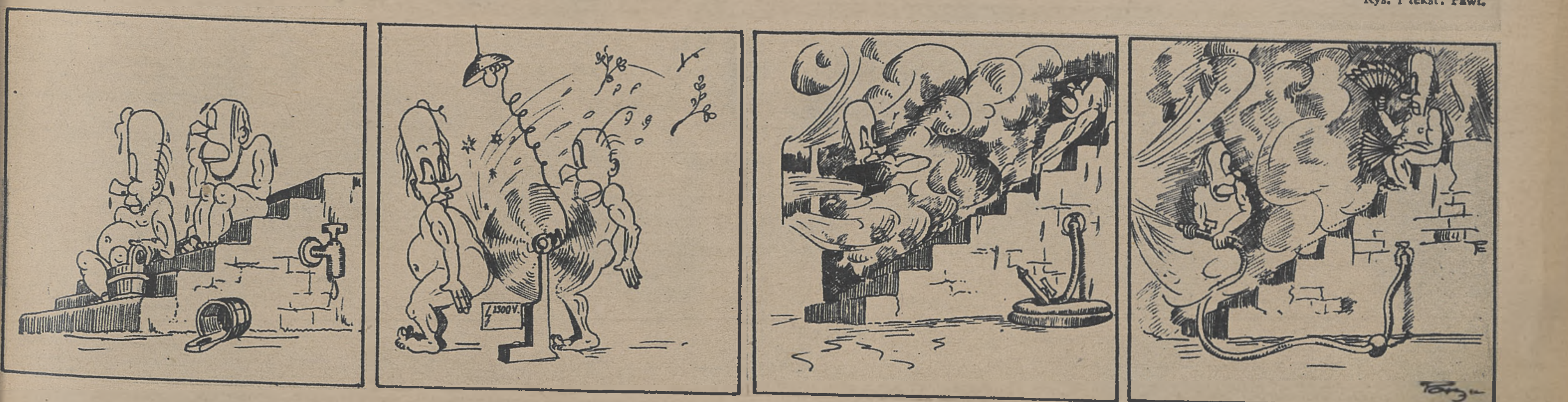
I jeszcze trzeci sunny boy znajdował się pomiędzy nami, jakiś były artysta, metys Catman, nazywany tak dlatego, że chodził cicho jak kot i zawsze wynurzał się w naszym pobliżu wtedy właśnie, kiedy się go nikt nie spodziewał. Oczy żarzyły się mu jak dwa węgle. Można było porozumieć się z nim prawie tylko na migi, gdyż jego angielskie było niemożliwe. I takich to ludzi wyszukiwało Towarzystwo. Naturalnie zyskiwali ci ludzie tyle na tym, że nie wiedzieli co ich czeka. Nie było przynajmniej żadnych pobożnisiów w tym towarzystwie, nie było gorączki minowej i nikt nie skakał w morze. Wszyscy oni czuli się w swoim żywiole, pochodzili bowiem z rynsztoka i po pewnym czasie znowu będą mogli wędrować po świecie wolni i niczem nie skrępowani — wolni i niczem niezwiązani w ich naturalnie pojęciu Oczywiście i ich podnieciły podwyżki płac majtków. Albo też „zszanghajowano" ich, gdy byli nietrzeźwi. Zresztą wszystko jedno jak było, byli po prostu na okręcie i w niemniejszym niebezpieczeństwie jak dawniej, gdy obijali się po spelunkach. A właściwie — cóż stanowiło dla nich niebezpieczeństwo? Nigdy nie słyszałem, żeby który o tym rozmawiał. Był to wyraz, którego jeszcze nie było w ich słowniku. Przeciwnie, cieszyli się, że zobaczą Europę. Podróż była dla nich pewną odmianą swego rodzaju rozrywką. Kto by jednak dawniej był zaangażował te figury ze strzelnic na placach rozrywkowych na porządny okręt? Kapitanowie nie byliby bardzo wdzięczni za to. Najwyżej mógł ich potrzebować okręt szmuglujący alkohol. Mieliby tam rownie mało praw jak i na naszym okręcie. Ale i to ich nie wzruszało. Byli tak czy inaczej kandydatami śmierci.

Jakim jednak sposobem myśmy dostali się do tej bandy, ja i moi towarzysze z dawnych rejsów? Czasem siadywaliśmy razem i łamaliśmy sobie głowy nad niesprawiedliwością jaka się zdarza w życiu ludzkim. Że kapitan zgadzał się jechać z takimi bandytami, to dawało też wiele do myślenia.

Dalszy ciąg nastąpi

KNOTEK I MOTEK W ŁAZNI RZYMSKIEJ

Rys. i tekst: Pawł.



Knotek z Motkiem w rzymskiej łaźni,
Choć raz użyć chcą kąpieli
By wykąpać się doraźnie —
Raz w tygodniu przy niedzieli.

Procedura całkiem prosta:
Tapczan, masaż, dla wygody;
Najpierw para, — potem chłosta,
To znów kubeł zimnej wody.

Na najwyższym stopniu w parze
Motek omal że nie mdleje,
Poci się i w parze smaży —
Knotek w piec wciąż wodę leje.

Na ostatni stopień wchodzi
Knotek, chcąc pokazać zucha —
I wachlarzem tu się chłodzi,
Niechże para teraz bucha.

Huź-ha na dzika!







U góry:

Psy do polowania odkryły świeży ślad dzików. Rozgorączkowane od podniecenia i chęci mordu puszcza się je ze smyczy.

Wycie sfory psów obudziło czujność stada świń przebywających w tym młodym lesie. W dzikiej ucieczce przez wysoki, puszysty śnieg starają się one umknąć przed pospieszającym za nimi śmiertelnym wrogiem.

Chyże psy dopędziły ostatniego dzika. Nie ma on innego wyjścia, tylko musi stoczyć z psami walkę i gotuje się do niej. W tym momencie otrzymuje dzik śmiertelną kulę.

Z filmu naukowego „Ufy"
„Myśliwy jako trzebiciel"





Próbuje on jeszcze raz uciekać, a potem znów atakuje psy. Teraz interweniuje myśliwy „świńskim piórem" by ochronić psy przed szalejącym dzikiem. Jest to niesłychanie podniecający, pełny ruchu obraz i to w momencie, w którym musi strzelec zachować największy spokój i zimną krew, by zadać smiertelny cios odyńcowi, dokoła którego skaczą psy jak piłki gumowe.

Następnie rozlega się wśród lasu przybranego w szatę zimową granie na rogu oznajmiające, że „świnia została zabita" i emocjonujące polowanie z nagonką zakończyło się pomyślnie.

Szable na twardo

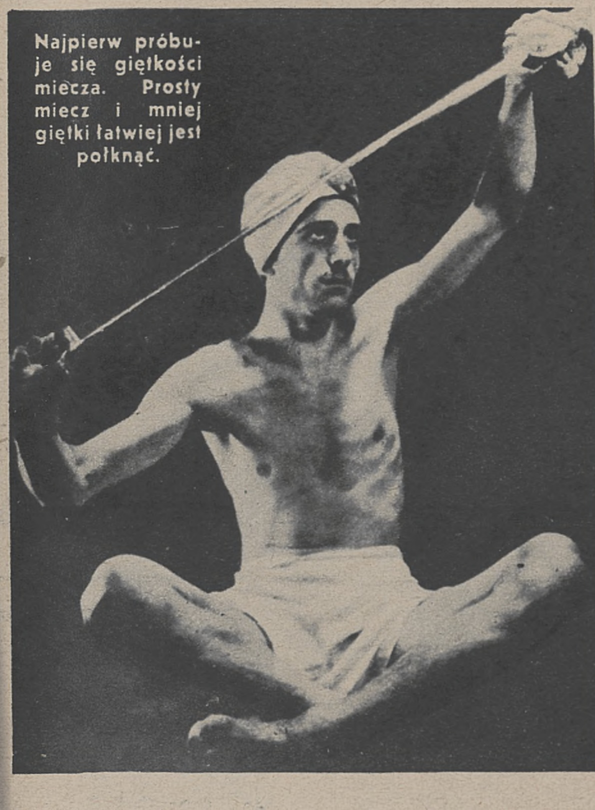
Fot. Dillan-Otto



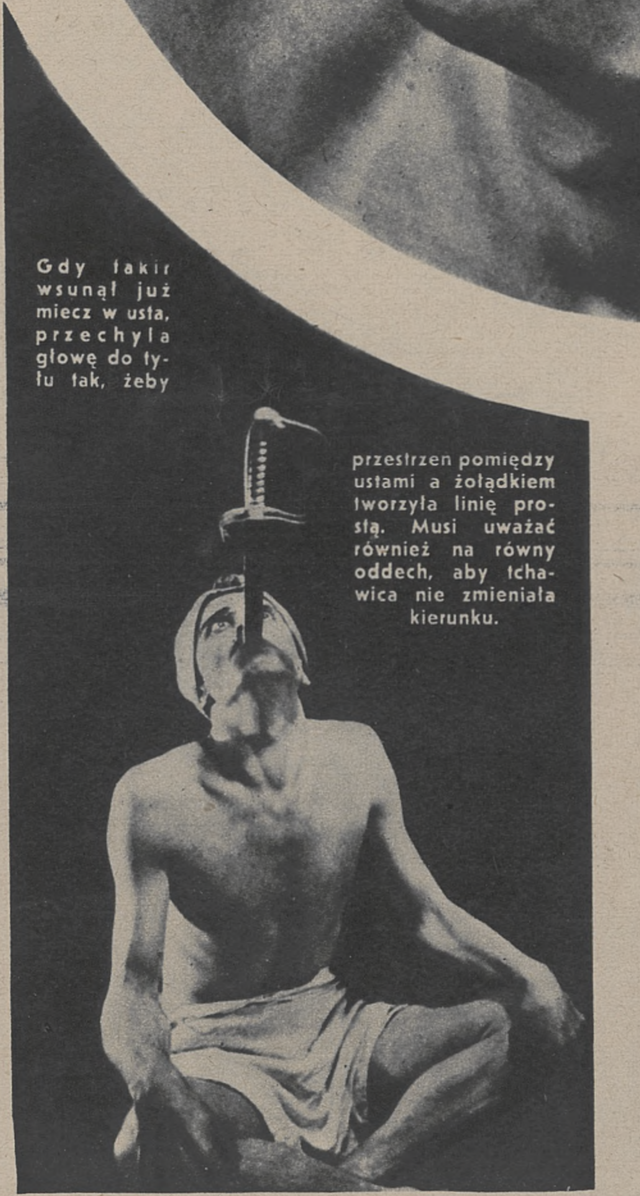
Zanim fakir zacznie połykać miecz, musi go dobrze wyczyścić. Musi się również dobrze najeść, aby w ten sposób mógł obniżyć się żołądek.



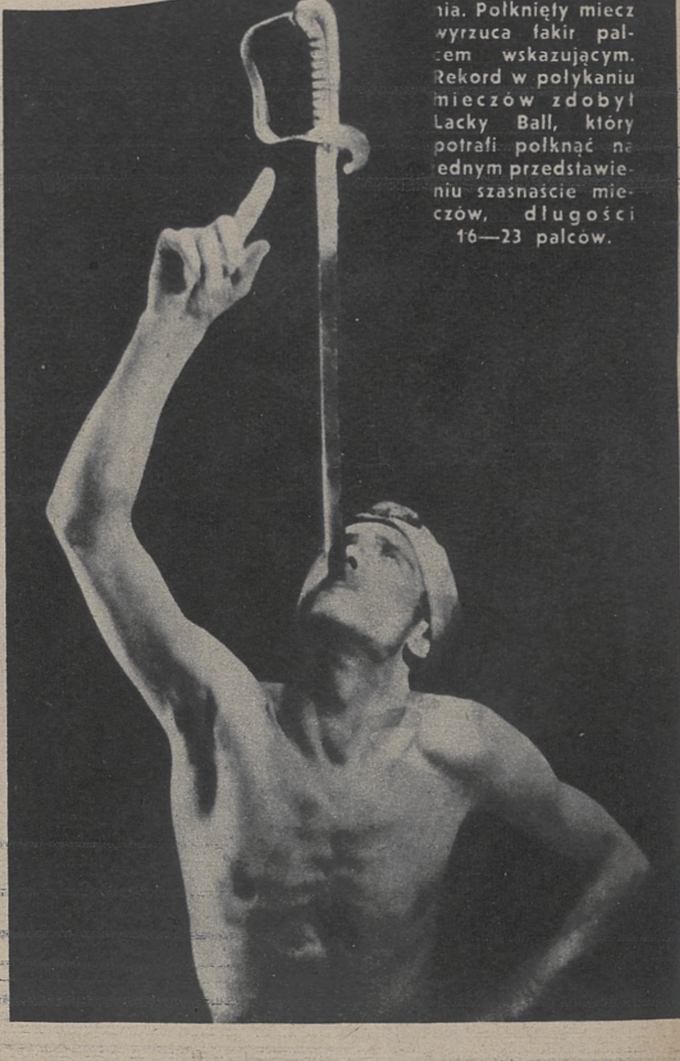
Zrobione! Miecz został połknięty aż po rękojeść. Nauka tej sztuki wymaga trochę treningu. Lecz nawet po dłuższej przerwie może fakir zacząć na nowo swoją produkcję.



Najpierw próbuje się giętkości miecza. Prosty miecz i mniej giętki łatwiej jest połknąć.



Gdy fakir wsunął już miecz w usta, przechyla głowę do tyłu tak, żeby przestrzeń pomiędzy ustami a żołądkiem tworzyła linię prostą. Musi uważać również na równy oddech, aby tchawica nie zmieniała kierunku.



Koniec przedstawienia. Połknięty miecz wyrzuca fakir palcem wskazującym. Rekord w połykaniu mieczów zdobył Lacky Ball, który potrafi połknąć na jednym przedstawieniu szasnaście mieczów, długości 16—23 palców.

Spotykamy się na świecie z ludźmi, którzy dokonują rzeczy, od których człowiekowi rozum staje. Z podziwem schylamy też głowy przed fakirami, którzy swoją poobiednią siestę odbywają na dywanie z zardzewiałych gwoździ lub nakłuwają się drutami od robienia pończoch, nie uroniwszy przy tym ani jednej łzy ani też kropli krwi. Do takich fenomenów należą także połykacze mieczów. Z naszych zdjęć widzimy, że połykanie mieczów nie jest rzeczą zbyt trudną dla rutynowanego połykacza. Przede wszystkim przed rozpoczęciem pokazu musi on miecz dobrze wydezynfekować, aby w razie uszkodzenia krtani nie spowodował zakażenia. Oprócz tego musi fakir przed przedstawieniem najeść się dobrze, aby wypełnić żołądek i w ten sposób nieco go obniżyć.

Potem rozpoczyna się właściwa produkcja. Przedtem jednak jeszcze jedna nawiasowa uwaga: wszyscy fakirzy twierdzą, że daleko łatwiej jest połknąć miecz prosty niż wygięty. Wsuwając miecz w usta, przybiera fakir taką pozycję, aby przestrzeń pomiędzy ustami a żołądkiem tworzyła linię prostą. Wtedy miecz wsuwa się pomału do przełyku i powoli schodzi aż do żołądka, a z ust wystaje jedynie rękojeść. Połknąwszy już miecz wyrzuca go następnie fakir przy pomocy palca wskazującego.

Rekord w połykaniu mieczów (z pewnością nikt mu go nie zazdrości) ma pan Lacky Ball, który na jednym posiedzeniu potrafi połknąć szesnaście mieczów. Wobec takich wyczynów — kapelusz z głowy! W jednym się wszakże wszyscy połykacze mieczów zgadzają: Żaden połykacz nie powinien przed pokazem jeść czekolady, gdyż ta oblepia się w żołądku dokoła miecza.

Ostatecznie jednak musimy prosić o przebaczenie; miecz ten jest bowiem z drewna, oklejony staniolem. A nasz fakir nie połyka go nawet, lecz ułamuje go po kawałku, a w ustach trzyma tylko rękojeść. Niemniej muszą czytelnicy i tak przyznać, że pokazaliśmy im ten świetny wyczyn fakirów indyjskich w sposób jak najbardziej naturalny.

ZEW KRWI

„Ależ mężu, nie róbże tego przy dziecku, widzisz przecież, że on i tak już się do tego zabiera!“



Razem z nimi kroczy śmierć



Jeżeli tytuł niniejszego reportażu brzmi „Razem z nimi kroczy śmierć" (a reportaż ten poświęcony jest walce z tyfusem plamistym), zdjęcia zaś pokazują tylko żydów i owada, który jest bezpośrednią przyczyną tej strasznej choroby, oznacza to, że żydzi jako najbrudniejsza część ludzkości, są najniebezpieczniejszymi roznosicielami tyfusu plamistego. Sami przeszedłszy w ciągu swej historii tysiące tych epidemij, uodpornili się oni do tego stopnia, że śmiertelność spowodowana tyfusem plamistym wynosi wśród nich tylko 10%, podczas gdy wśród Polaków wynosi ona 40%.

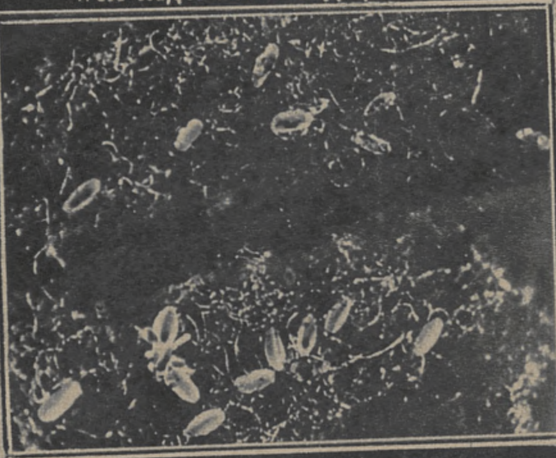
Tyfus plamisty jest chorobą **zakaźną**! A więc może ona być jedynie przeniesiona przez osoby już nią zarażone. A zarazić tą chorobą może tylko **wesz** tyfusowa, której organizm stanowi doskonałe podłoże do rozwoju zarazka tyfusu. Bez wszy tyfusowej nie ma tyfusu plamistego! Wszy zaś trzymają się najlepiej w brudzie i niechlujstwie. Pierwszym warunkiem więc, aby się ustrzec od wszy tyfusowej jest: nie stykanie się z osobami brudnymi i utrzymywanie w czystości mieszkania i własnego ciała.

Wśród ludności żydowskiej tyfus grasował zawsze. Wśród ludności aryjskiej występuje on jedynie okresowo, przeważnie podczas wojen, gdy to z powodu braku najkonieczniejszych środków potrzebnych do utrzymania porządku, brud się rozszerza, a także dlatego ponieważ na skutek wzmożonego przesuwania się masy ludzkiej łatwiej się wesz tyfusowa przenosi.

W momencie zakażenia tą straszną chorobą, los chorego jest właściwie przesądzony, gdyż nie znamy sposobu leczenia, który by zabijał lub usuwał z organizmu chorego zarazki tyfusu plamistego. To, czy chory przeżyje swój ciężki stan, czy też ulegnie mu, zależy wyłącznie od wytrzymałości jego organizmu. Leczenie tyfusu plamistego ograniczyć się bowiem może tylko do racjonalnej opieki nad chorym. A więc — jedyną naprawdę radą, by ustrzec się przed tą plagą — jest czystość, czystość i jeszcze raz czystość! Częste zmiany bielizny, częste kąpiele lub mycie ciała nie dopuści do zawszenia. Również czystość mieszkania ma duże znaczenie. Zdarzało się często, że nocowano u siebie włóczęgów, żebraków, ludzi niechlujnych, którzy mieli wszy odzieżowe i w ten sposób zarażano się tyfusem plamistym.



Wesz ssająca krew ludzką poprzez skórę.



Gniazdo z gnidami w załamaniu kołnierza.



Wszy tyfusowe rozłożone na papierze.



W Instytucie Doświadczalnym, dostarczającym szczepionek przeciw różnym chorobom szuka się też serum przeciw tyfusowi plamistemu.





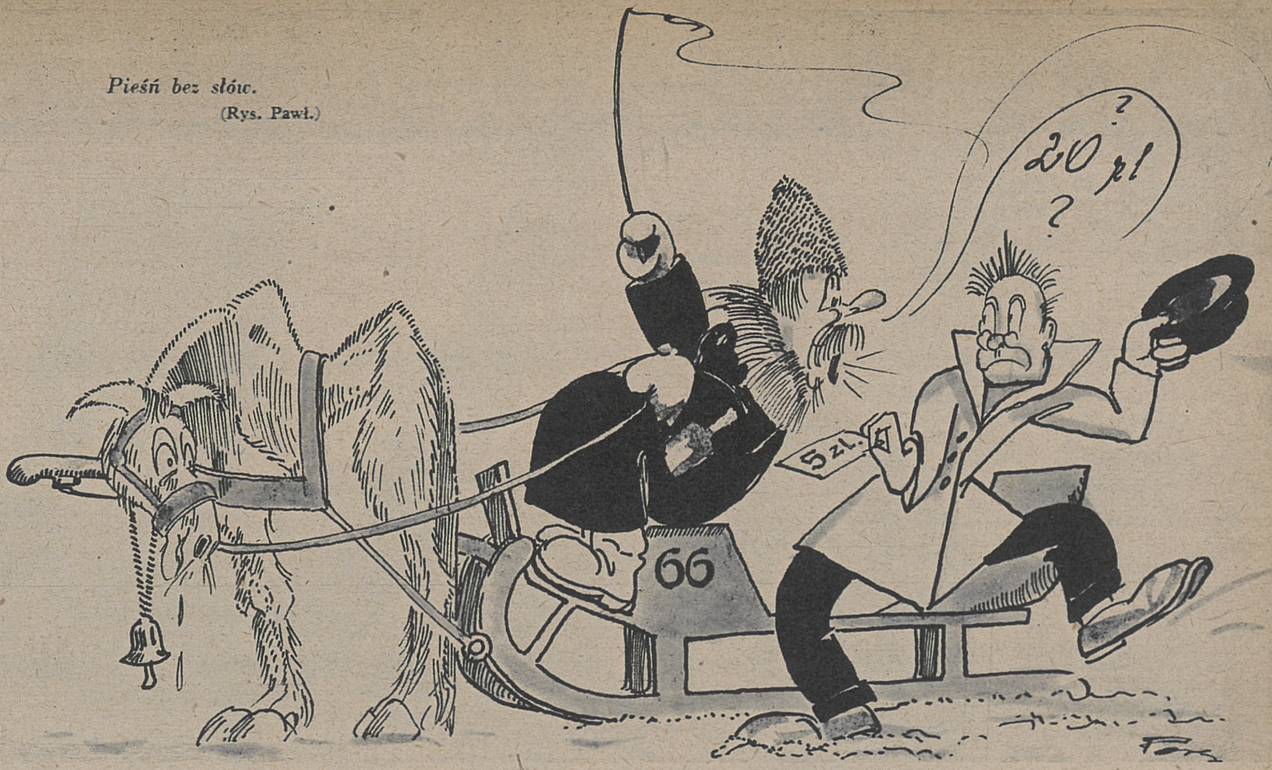
Żydzi są głównymi roznosicielami tyfusu plamistego.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Człowiek chciałby rozerwać się trochę po tych zajęciach biurowych *patrz pan, wszędzie widzi to samo!* (Bertoldo, Włochy)



Pieśń bez słów. (Rys. Pawł.)



Młody tancerz przechwala się przed panną, z którą tańczy: — Wie pani, w ciągu jednej godziny nauczyłem się tańczyć.
Tancerka skinęła głową: — Przypuszczałam coś podobnego.

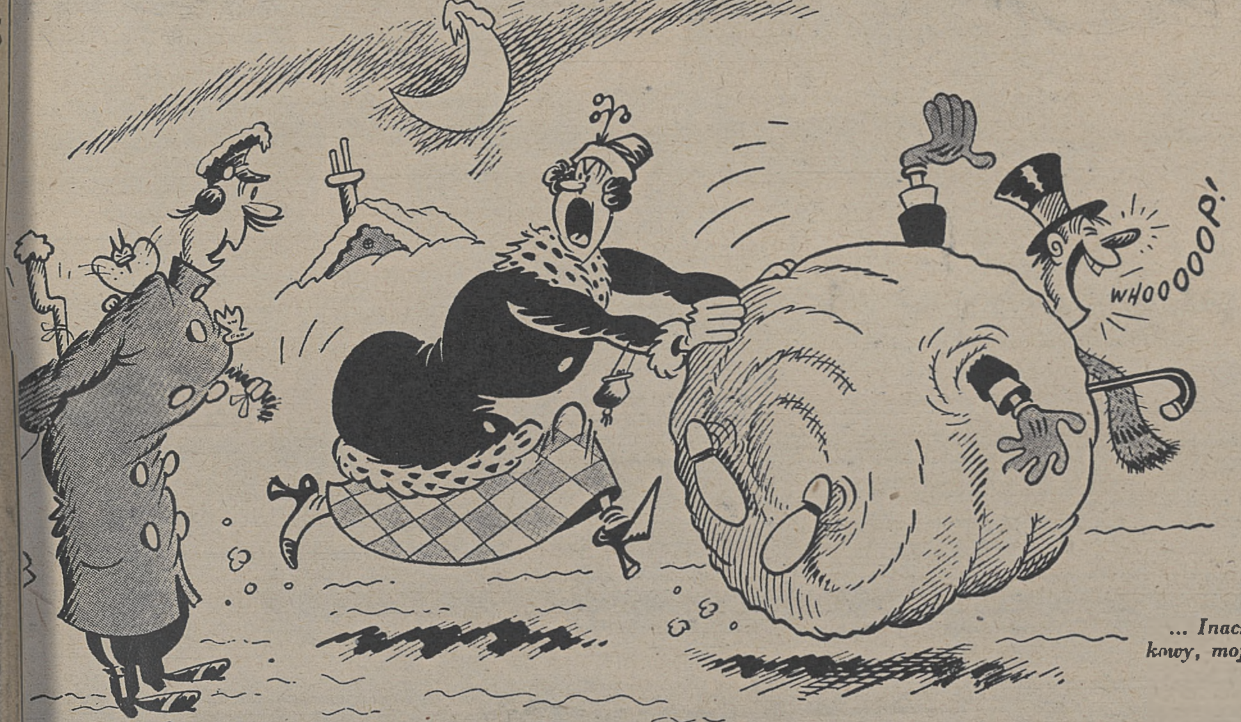
Ojciec: — Tego trochę za wiele. Mieć trzy dorosłe córki i chodzić w surducie, przy którym brakuje guzików.
— Ależ Filipie, — mówi żona — nie musisz się przecież własnych dzieci żenować.

— Czy pan mówi żonie, co pan robił w domu w tym czasie, kiedy ona była w kąpielach?
— Ależ ona mnie nigdy o to nie pyta.
— Co za wyjątkowa kobieta! Jesteś szczęściarzem!
— Ona jest zdania, że sąsiadki lepiej ją o tym poinformują.

— Chciałby pan zostać mym zięciem?
— Nie, ja chciałbym tylko ożenić się z córką pani.

— Jak podzieliliście swe mienie przy rozwodzie?
— Moja żona wzięła mieszkanie, a ja dzieci.
— A kto wziął majątek?
— Adwokat.

Lekarz: — Po zażyciu tego lekarstwa będzie pan spał jak niemowlę.
Pacjent: — Panie doktorze, pan pewno nie ma niemowlęcia w domu.



... Inaczej nie dostanę, panie posterunkowy, mojego starego do domu. (Vidam Usjag, Węgry)

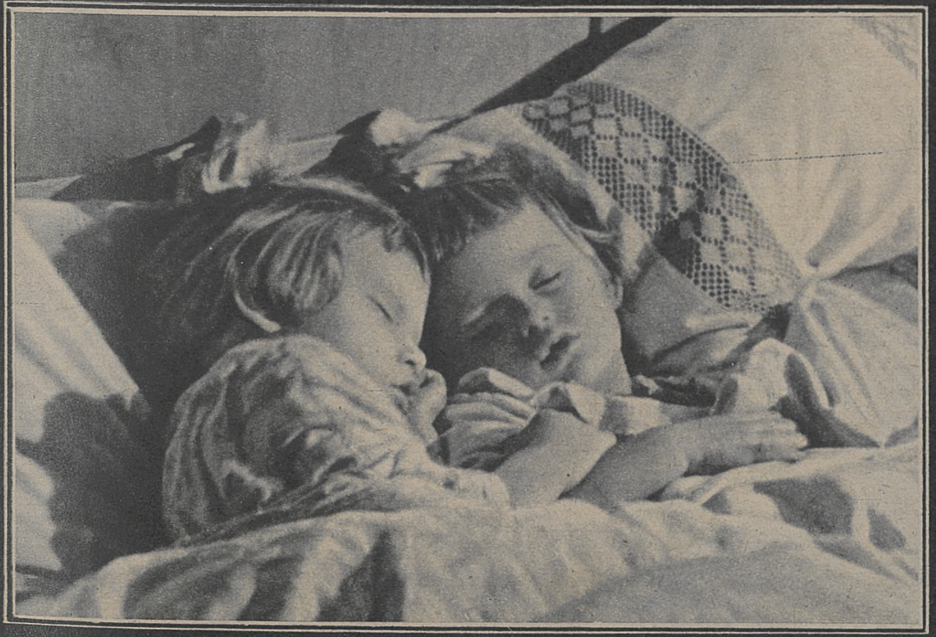


— Och, Pedro, puść mnie w tej chwili!
— Nie jestem Pedro, mimo że muszę cię puścić! (Sempre Fixe, Portugalia)

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

UWAGA! FOTOAMATORZY!

Oba nasze dzisiejsze zdjęcia robione są przy świetle wieczornym, pierwsze przy zwykłym świetle wzmocnionym żarówką 75 v., drugie przy oświetleniu Nitrafot. Tak jedno jak i drugie są technicznie dobre, do szczegółów przejdziemy przy omawianiu każdego zdjęcia osobno. Chcielibyśmy jedynie zaznaczyć jeszcze, że przy robieniu zdjęć sylwetkowych gra bardzo ważną rolę najmniejsze przesunięcie światła.

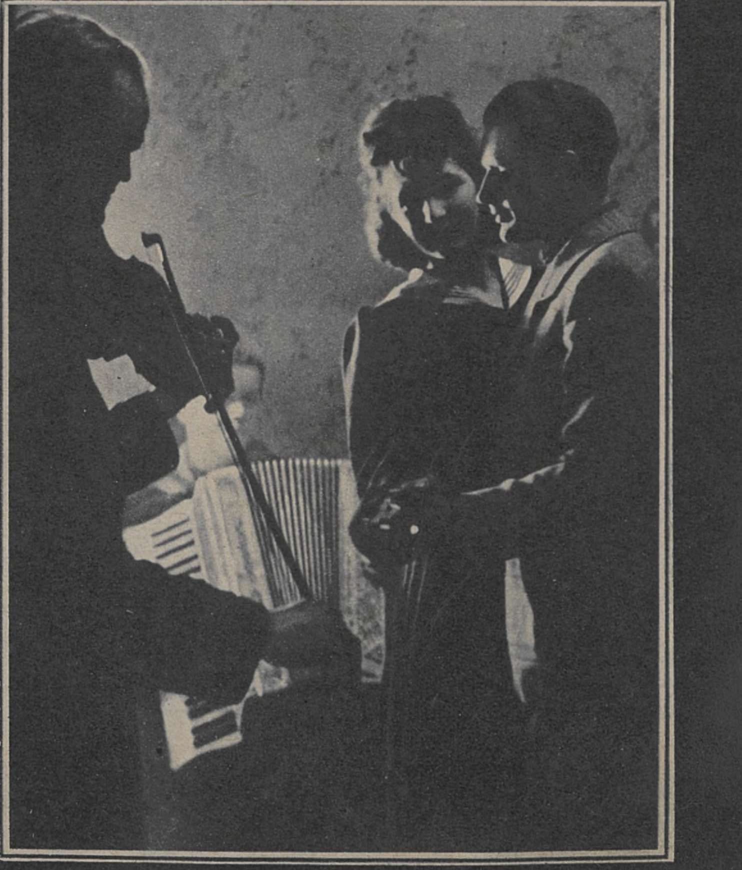


„W TAŃCU"

Nadesłała p. Krzemińska Stanisława z Krakowa. Aparat Voigtländer Superb, przysł. 4.5, czas 1/25 sek., oświetl. Nitrafot. Sylwetka grającego dobra, natomiast sylwetki tańczących powinny mieć trochę więcej światła, żeby wyraźniej jeszcze się odcięły.

„OCZKA ZMRUŻYŁ SEN"

Nadesłał p. Ładanowski Józef ze Lwowa. Aparat Leica, czas 3 sek. Zdjęcie bardzo naturalne i pod każdym względem dobre. Nie ma zbyt wielkich kontrastów, jak na czas 3 sekund bardzo udane. Można tu było wziąć czas 10 sek. właśnie dlatego, że dzieci śpią. To, że właśnie przy czasie 3 sek. zdjęcie jest tak udane, świadczy na korzyść fotoamatora.

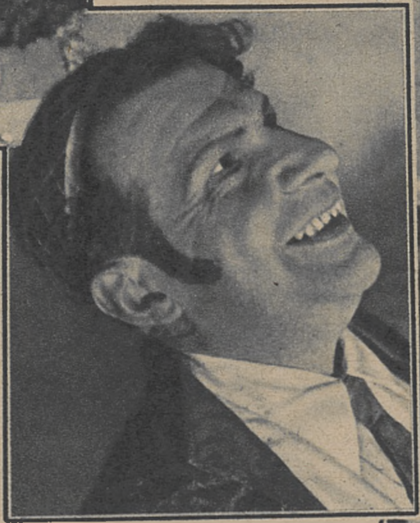


„CYRULIK" W KRAKOWIE



Ada Sari jako Rozyna w akcie III.

Fot. Borek



Zenon Dolnicki, cyrulik i totumfacki wszystkich potrzebujących jego sprytu.



Karol Urbanowicz jako don Basilio, Stanisław Drabik, hrabia Almaviva, tu pijany żołnierz, i Bol. Folański jako stary Bartolo.

W ubiegłym tygodniu mieliśmy w Krakowie możność podziwiać „Cyrulika Sewilskiego". Oprócz słów najwyższej pochwały i podziwu dla wszystkich artystów trudno coś jeszcze dodać. Chyba osobno należy podnieść olbrzymie starania p. Stanisława Drabika, który jako kierownik artystyczny Imprez Operowych dba o to, by rzadkość tych imprez wynagrodzić ich wartością artystyczną.

Ze scen Warszawy

PREMIERY W TEATRACH I TEATRZYKACH WARSZAWY. CO KTO LUBI. AUTORZY. TROCHĘ O PRZEDSTAWIENIACH DZIECIĘCYCH.

Kabaret „Ul" dał oryginalny i pełen subtelnego dowcipu tytuł: „Cip-Cip". Ten wykwit dobrego smaku może się pochwalić odpowiednio dobranymi skeczami z których „Kobieta i konduktor" bije rekord... pornografii. Drugie miejsce zajmuje zemsta królowej. Wzruszające! Chmurkowska, Górska, Winiarska, Pawłowski i Fertner grają jak anioły i to właśnie ratuje rewię.

*

Kabaret „Momus" zdobył Bendera. Potężny bas rozwala mury i są momenty kiedy się zdaje, że biedny śmiertelnik wciśnięty pomiędzy stolik, filar i czyjeś bary żywcem pójdzie do nieba. Te wzniosłe rozmyślania przerywa Jan Mroziński podając nam perełki humoru w jemu tylko wiadomy sposób.

Duo Suth wyczynia najcudowniejsze łamańce bez zmrużenia powiek, a Kamińska wdzięcznie wyprzedzając muzykę tańczy na swoją rękę.



„Cip... Cip...' woła tragicznym głosem Pawłowski w „Ulu".

Fot. Łuczyński



Parysiewicz i Bielenia (z chóru Dana) uwodzą się w skeczu „Kobieta i konduktor".

Teatr „Miraż" robi eksperymenty, to znaczy że jego dyr. artystyczny zaczyna grać w ciuciubabkę z publicznością i pod hasłem „pozna się czy się nie pozna" daje jej skecz „W górę w dół", gdzie nawet sam autor nie wie o co chodzi. Łuczak, Hanusz, Perkowska, Negro i Pilarski to są filary i na nich można oprzeć rewię.

*

„Bagatela" zaczyna nabierać rozpędu, w tym celu mianowano ministrem dowcipu Janusza Ściwiarskiego. W miarę jak sypią się „kawały" wzrasta tempera tura na sali umiejętnie podsycana przez świetny duet Rajew ska—Wójcikowski i trio Lilienbach. Pianistka gra dobr II rapsodię Lista, ale poważna muzyka kładzie na niej zn mię i muzyka lekka w jej wykonaniu jest bez życia i wy razu, traci na tym wybitnie chór Radiana.

*

Jeżeli kto lubi spędzać czas w typowych kabareta może zobaczyć bardzo dobry program w „Café Clubie „Adrii", „Bristolu", „Kameleonie" czy „Savoy'u Lekka muzyka i czar Terpsychory króluje tam wszec władnie, a opary alkoholowe kładą zawianemu w dzowi różowe szkiełka.

*

We wszystkich prawie teatrach są urządzane prz stawienia dla dzieci, a więc dyrektor Ortym wdrap się na szklaną górę, skąd wzdycha do królew Śnieżki i po drodze poluje na wilka. Uro nimfy (po 100 kilo kobiecości) tańczą z g cją na scenie. Dzieci płaczą, popychają ojcowie sobie wymyślają, mamusie p kują, ale przedstawienie jest.

Dyrektor Wolian robi rewię dziec a potem chodzi z obolałą głową, tydzień aż do drugiego przed wienia. Najgorszy ten kon z dziećmi, bo bachorzęta poc nagle przypływ sympatii i za dzają go swoimi zdolności aktorskimi.

„Miraż" czyli dyrektor Seń wy wadził w wytworne towarzys Krysię łachmaniarkę wielkim kładem pracy. Dzieciaki ocz wane z żalem opuszczają tea odgrywają się za to w dom

Helena Wielgomaso